ROZMAITOŚCI.

Dnia 7. Maja | N.er 19. | Roku 1842.

TESTAMENT.

»Ty dobry chłopiec. Jasieńku, ja ci z duszy sprzyjam.«

»Całuję rączki stryjaneczki dobrodziéjki.«

»W istocie; ty ani wiesz Jasieńku, ani się domyśléć możesz, jak ja o tobie myślę i jakbym rada, żeby tobie dobrze było na świecie.«

»Całuję rączki stryjaneczki dobrodziéjki.«

»Otóż mój Jasieńku, ty jesteś młody człowiek, stateczny, odbyłeś nauki z pożytkiem, z chwałą służyłeś w wojsku. Masz zdatności i możesz wyjść wysoko. Nie tobie to kręcić się po świecie bez celu i pożytku. Tybyś powinien się żenić; już masz rok 28.«

»Ach i ja o tém myślę, stryjaneczko!«

»Myślisz, mój Jasieńku? To pięknie, że nie chcesz zostać bezżennym. Ale nic nié masz, mój Jasieńku! tyś powinien przez ożenienie się zapomódz. Potém ty nie jesteś mój Jasieńku ten wartogłow, trzpiot, co się żeni w chwilowym zapale, a po roku o rozwodzie myśli. Tobie trzeba żony rozumnéj, poczciwéj, choćby mniéj ładnéj, bo piękność, ta prędko mija mój Jasieńku.«

»A szpetność zawsze szpetnością zostaje.«

Stryjaneczka zamilkła, głośniéj zaczęły furczéć wituszki, na których nici zwijała— i ich furczeniem jedynie przerywane milczenie trwało dość długo, nim ochłonęła z gniewu, który drwiąca odpowiedź Jasieńka nagle wywołała, a który ukryć było potrzeba. Przemogłszy się, jeszcze słodziéj nastrojonym głosem mówić poczęła: »Młodzi zwykle nie dbają o zdanie starszych; ale ty nie taki Jasieńku; ty dobre odebrałeś wychowanie. Ach, co to za kobiéta była twoja matka! Mnie bez żalu trudno ją wspomniéć. Ale kiedy jéj nié ma, gdyby i ty mój Jasieńku na jéj miejscu, chciał przyjąć moją radę, pewnie życzliwą. — —«

Jan Dzierzyc, przez stryjankę chorążynę lubaczewską nazywany Jasieńkiem, spuściwszy w dół oczy, zadumał się głęboko. Chorążyna widząc, że jéj mowa nie te, co zamierzała, sprawia na słuchającym uczucie, że ten zdaje się powątpiéwać o jéj życzliwéj chęci, ucichła znowu na chwilę, znowu zafurczały wituszki, ale gdy Dzierzyc wstał i chciał odejść, trzeba go było zatrzymać.

»Poczekajno! siadaj i posłuchaj. Jest panienka, dziś także uboga, i dla tego nie wzbraniałaby się pójść za ciebie. Raz nawet, gdy była mowa o tobie, zarumieniła się mocno; myśmy ją prześladować zaczęli, wzbraniała się długo, nakoniec kiedyśmy ją zręcznie zażyli, przyznała, że jéj obojętnym nie jesteś. To co na nią niezawodnie za czasem spadnie, wynosi do pół milijona. Byłoby z czego żyć, i miéć między ludźmi znaczenie i wziętość. Przytém ród znakomity, kolligacyja piękna, wujowie mogący wiele dopomódz. Ty Jasieńku z takim majątkiem i wpływem, byłbyś między piérwszymi w powiecie, mógłbyś za czasem i o senatorskie krzesło się pokusić. A zdatność jest do wszystkiego. A to stworzenie dobre, ciche, potulne, pobożne jak zakonnica, nie płoche, nie expensowne, nie ubiégające się za zabawami.«

»Słowem«, dodał Jan Dzierzyc, unudzony długiém wyliczaniem przymiotów, »słowem panna Kunegunda.«

»Zgadłeś, mój Jasieńku, moja siostrzenica, Kundzia Machowska. Co ja mam, to dla niéj, i twój stryj bardzo ją kocha i już mi przyrzekł, że gdy się pobierzecie, wszystko wam zapisze.«

»Umiém cenić łaskę stryja, ale nie dla spadku go kocham, a żenić się nigdy nie myślę.« To rzekłszy, wychodził spiesznie, dalszego unikając tłumaczenia, a gdy drzwi nagle otwiérał, potrącił mimowolnie podsłuchującą u klamki pannę Kunegundę, osobę nie wiele od siebie starszą, ale ułomną, chorowitą, chcącą zakryć ułomność poduszeczkami i rogami, a szpetność twarzy bielidłem, czerwienidłem i według panującéj na ów czas śmiészności, muszkami i malowanémi niebiesko żyłkami — osobę udanéj skromności, chytrą, nieszczérą i złośliwą.

Nazajutrz rano, korzystając z chwili, kiedy Chorążyna była w kościele, Jan poszedł do stryja, który go wychował, wcześnie zmarłego ojca zastępując, i którego szczérze kochał. Chciał z całém zaufaniem serce mu swoje otworzyć, ale już zastał pana Jacka Łozę, brata Chorążyny, przy którym nie śmiał mówić otwarcie. Tak było przez wszystkie dni jego pobytu u stryja. Chorąży paraliżem tknięty, obiema nogami nie władnący, spoczywał na łóżku poduszkami obłożony. Nie bardzo było czysto koło niego i pościeli; z kątów ścian, z za pieca, nawet z po-za makaty okrywającéj ścianę przy jego łóżku, wyglądała pajęczyna. Kilkanaście folijałów, w pargamin oprawnych na półce i rozpięte na osobnéj ścianie: zbroja, misiurka, tarcza, buzdygan, proporzec, łuk i kołczan; pałasze, pistolety, strzelby i sztućce; trąbka, torba myśliwska, rogi na proch, ładownice, siodła i rzędy na konie, pyłem którym były okryte i rdzą, która je miejscami osiadała, świadczyły, jak dawno nie były ruszane. Pod pozorem służenia choremu i rozrywania go, zawsze żona, albo kto z jéj rodziny, byli przy nim nieodstępnie. Sługi jednego nawet przy nim długo nie trzymano, aby się do pana nie przywiązał albo zaufania jego nie posiadł. Wiedział Jan, że listy jego przejmowane, nie zawsze rąk stryja dochodziły, albo nie rzetelnie były mu odczytane. Chcąc koniecznie z nim się rozmówić, ośmielił się prosić pana Jacka, aby był łaskaw zostawić go na chwilę samego ze stryjem. — »Pan Chorąży«, odrzekł Jacek, »potrzebuje częstéj usługi, do której my tylko wprawni jesteśmy. Gdyby się chciał obrócić, wmpan nie potrafiłbyś mu dopomódz.« — »Ja w takim razie zadzwonię albo wybiegnę wmpana prosić.« — »Czy to ja hajduk, żebyś na mnie dzwonił albo mnie wołał? Nié masz potrzeby mnie się pozbywać. Pan Chorąży jest wmpana dobrodziéj a mój szwagier, nie robi przedemną sekretów. Co mu wmpan masz powiedziéć, możesz mówić przy mnie — jeżeli chcesz go o co prosić, wiémy, że jego łaski potrzebujesz; jeźliś zaś co popełnił albo zamyślasz popełnić, czego przed ludźmi uczciwymi się wstydzisz, lepiéj zrobisz, gdy chorego stryja nie będziesz zasmucać wyznaniem, bez którego się obejdzie.« — »Mości panie!« zawołał Jan, »mówisz z oficerem.« — »Litości!« odezwał się słabym głosem Chorąży, »nie dość, żem nieszczęśliwy? Jeszcze się kłócić przy mnie będziecie.« — Jan nie chcąc obrazić stryja, zamilkł, niebawem pożegnał się i z bolem serca odjechał. Pan Jacek aż do jego odjazdu nie wyszedł z pokoju, aby się z nim na osobności nie spotkać, ale stał przy oknie i patrzył na odjéżdzającego. Cała rodzina Chorążyny, już była około chorego zgromadzoną. Pan Grzegorz brat najstarszy, bezżenny, całe życie nadskakiwał panom, rąbał się i huczał za nich, z ich ramienia piął się na urzędy, na których im służył. Był i deputatem na trybunał, aby sprawiedliwość zamącić, i posłem na sejm, który zerwał. Płynęły za to dary obfite, ale pan Grzegorz nic utrzymać nie umiał i zawsze był goły. Młodszy od Grzegorza, znany już nam pan Jacek, literat, miał gotowych do druku dziewięć tomów supplementów do korony polskiéj Niesieckiego i na wzór nowych Aten Chmielewskiego, układał dzieło wielce uczone: *Nowa Aleksandryja*. Pisał też wiérsze na wszystkie imieniny, chrzciny, wjazdy, wesela i pogrzeby. Ożeniony w młodości, wcześnie owdowiał, zostało mu dwóch synów, których dla uniknienia zepsucia nie chcąc do szkół oddawać, sam wychowaniem się trudnił. Z tych Pawłunio miał lat 20, Euzebcio 18 — latem i zimą polowaniem, pijatyką i burdami zajęte, rosłe chłopy, wprawne do korda, do konia i do kielicha, postrach dziéwcząt i mołodyc wsi całéj. Pan Jacek i Chorążyna z macierzyńską oboje ślepotą ich wykroczeniom nie wierzyli, albo je uniewinniać, nawet na

dobre tłumaczyć zręcznie umieli, burdę zwąc odwagą i szlachetną dumą, upor tęgością charakteru, przy pijatyce ciesząc się mocnémi ich głowami. Wolno im było zajeżdżać konie chorążego, wytłukać zasiewy, bić chłopów i sługi, i trzymać zgraję psów, które napadały i kaléczyły przechodniów, po całych nocach szczékały i wyły pod oknami chorego, nawet wytłukały okna w jego pokoju, ale zawsze przypadkiem, zawsze ktoś z ludzi był temu winien, że psa popędził albo podroczył. — Pani Machowska siostra, wdowa, chorowita, zajęta jedynie chęcią wydania za mąż swojéj jedynaczki Kundzi, piérwszéj faworyty Chorążyny. Druga siostra pani Szarobrocka, oddana kurom, indykom, wieprzom, półsetkom, prowadząca rządy domu, i jéj małżonek, wielki swojego wieku gospodarz. Umiał lepiéj od Dunczewskiego zgadywać słotę i pogodę, odganiać czary od obory i pasieki, przywabiać cudze roje, wzwyczajać bydlęta do lichéj paszy, podpiérać i łatać stare budynki, z konia, woła i chłopa, chłostą dobywać niezwyczajną siłę. Wprawdzie niczego się gospodarstwem nie dorobił, owszém co miał, utracił, ale niewyczérpanym był w opowiadaniu, jak on doskonale i dzielnie dobrami Chorążego zarządza, osobliwie gdy kto z daleka przyjechał, bo przed sąsiadami nie lubił się chwalić. Ci się na nim nie znali i przez zazdrość nie oddawali mu sprawiedliwości. Mieli państwo Szarobroccy sześcioro dziatek, po większéj części drobnych, płaczliwych, krzykliwych, pustych, jeżdżących skrzypiącym wózkiem po pokoju Chorążego, trzaskających z bicza, wszystko ruszających, łamiących i tłukących, wyskakujących nawet nieraz na jego łóżko, co wszystko uchodziło, jako dowód dowcipu i przyzwoitéj wiekowi wesołości. — Pan Grzegorz często się włóczył po panach, ale wracał przesiadywać u chorąstwa z ludźmi i końmi, reszta rodziny była nieodstępną, i jak w swoim domu się rządziła.

Często bywają ludzie w tym błędzie, że pełnienie jednéj cnoty od innych uwalnia i wszelkie wykroczenia uniewinnia. Bywają, co pobożnością, nawet tylko powierzchownem pobożnych obrzędów pełnieniem, sądzą, że odkupić można szkodliwe wady i występki. Bywa żołniérz, który chełpiąc się odwagą, mniema, że mu przeto już wolno napastować bezbronnych, uciskać obywateli, wyzywać spokojnych do walki, cudze dobro zagarniać. Urzędnik, że się przekupić nie daje, mniema się wolnym od nagany, choć się uprzedzeniem, nienawiścią albo przyjaźnią uniesie, albo groszem publicznym lekkomyślnie szafuje. Są téż niewiasty dumne niepokalaną sławą wiernych małżonek, (choćby niepokalaną jedynie dla tego, że nigdy na mocną próbę wystawioną nie była), które tą jedyną cnotą, bardzo zaiste ważną dla szczęścia pokoleń i dobra towarzystwa, tak się w sumieniu swojem przeciw zarzutom wszelkim ubezpieczą, że się o nabycie żadnych cnot innych nie troszczą. Z tych liczby była Chorążyna. Ponieważ znacznie młodszą będąc od męża, i wdziękami za świadectwem swego zwierciadła jaśniejąc, nie dała do siebie przystępu wielbicielom, więc jéj się zdawało, że ztąd nabyła prawo do nieograniczonéj męża wdzięczności, że innych względem niego nié ma obowiązków, i że zaspokojony z téj jednéj strony, powinien zresztą najcięższe jarzmo znosić cierpliwie. Póki był w sile Chorąży, umiał stawić silny opór zachceniom i samo-władnéj woli małżonki, ale przy całéj jéj cnocie i sławie, w codziennych sporach i walkach, i nieustannych wyrzutach niewdzięczności, pożycie ich szczęśliwém nie było. Małżonka cnotliwa, stateczna, poważana powszechnie, była w domu zimnym samolubem, bez przymilenia, bez uprzejmości dla męża, opryskliwa, samowolna, upiérająca się przy wszystkiém, a jego woli i upodobaniu szła zawsze na przekor. Odkąd zaś on został złożony chorobą, czując się nie sposobnym do walki, zaniechał ją zupełnie, uzbroił się w obojętność i całą moc energii, na jaką jeszcze mógł się zdobyć, obrócił w cierpliwe znoszenie wszelkich przykrości. Zyskał na tém, że wyrzuty i przymówki zostawiane z jego strony bez odpowiedzi, były rzadsze i krótsze, nawet za czasem łagodniejszą i cierpliwszą względem niego okazywać się żona zaczęła, i więcéj dbać o potrzebne mu wygody, bądź przez wrodzoną płci niewieściéj dla chorego litość, bądź że nie długie rokując

mu życie, chciała sobie wyjednać zapis majątku, którego zarząd, równie jak domu, w swoje ręce ujęła. Wszystkich rządców, których z rązu przyjmował Chorąży, umiała dokuczaniem, podejrzliwością, złém obejściem odstręczyć i pozbyć się, tak, że innéj nie mając rady małżonek, musiał przystać na poruczenie rządów Szarobrockim. Od tego czasu rodzina żony obsiadła Chorążego i jego chlebem się żywiła. Gospodarstwo mimo przechwałek Szarobrockiego, szło najgorzéj, ale majątek Chorążego był tak znaczny, a niewymyślne potrzeby życia w owych czasach tak tanie, że przy skąpém utrzymaniu domu, jeszcze Chorążyna co roku, składała kapitalik, rozumié się, że dla siebie, choć w dóm mężowski nic nie wniosła, i z tąd powtarzać mogła: »Co mam, to dla mojéj Kundzi.«

Po kilku zaraz latach pożycia z mężem, widząc się bezdzietną, wzięła na wychowanie siostrzenicę swoją Kundzię, więc nie mogła się opiérać, gdy późniéj Chorąży przyjął w dóm siérotę po jedynym swoim bracie, Jana Dzierzyca. Już wtedy mimo starszego wieku i ułomności Kundzi, układała ciotka zamysł poswatania ją z Jasieńkiem i zapewnienia jéj przez to całego spadku po Chorążym. Ale Kundzia, dziecko rozpieszczone, była zła, grymaśna. Jasieńko chłopiec żywy, pusty, często nieuważny; każda zabawa dziecinna kończyła się płaczem Kundzi i skargą na Jasieńka, który zawsze surowo był za nią karany, albo naganiany. Tak i miłość między dziećmi od Chorążyny upragniona, zawiązać się nie mogła, i téj uraza a daléj nienawiść do Jasieńka coraz rosła, zwłaszcza gdy stryj stale okazywał się dla niego przychylnym. Potrzeba oddania Jasieńka na nauki nastręczyła stryjance dobrą sposobność oddalenia go z domu. Przyjeżdzał tylko na wakacyje, ale choć stryj zawsze dla niego był dobrym, zły humor stryjanki i Kundzi umiał za każdym razem zatruć mu wszelką zabawę. Gdy ukończył nauki u OO. Jezuitów, stryjanka chciała go oddać gdzie do dworu, on wolał pójść do wojska, i stryj pochwalał młodemu, że życie czynne nad próżniackie przekłada. Ta okoliczność, że cała rodzina Łozów, któréj kochać nie mógł, trzymała się strony Augusta, rzuciła go w przeciwną stronę Stanisława Leszczyńskiego. Dał dowody odwagi i zdatności, służył z poświęceniem, ale gdy sprawa Leszczyńskiego zupełnie upadła, wrócił w stopniu oficera, z piękną krésą na twarzy, a bez grosza w kieszeni. Już wtedy stryj był zupełnie opanowanym przez żonę i jéj rodzinę, i Janowi nie dawano doń przystępu bez świadków. Nalégał pan Jacek, aby się udał do palestry trybunalskiéj, pan Grzegorz swoim wpływem obiecywał mu wyrobić przebaczenie panującego króla i swoją protekcyję, jeźli wstąpi do wojska. Piérwszego wzbraniał mu wstręt wrodzony od pieni i siedzącego życia, drugiego uprzedzenia stronnictwa, któremu wprzód służył. Protekcyja Łozów była wielce podejrzaną, a ich rada już dla tego trudną do przyjęcia, że od niechętnych pochodziła osób. Zebrawszy więc nie wielkie sumki, które mu po ojcu były zostały, pomnożone procentami, przez wszystkie lata w których go stryj utrzymywał, nie pobiéranymi, poszedł na dzierzawę wioski, zajął się gospodarstwem, od którego tylko chęć odwidzenia stryja odrywała go czasami. Ale odrzucenie rady Łozów stało się nieprzebłaganą urazą, a wyszukiwane w nim przywary, niewyczérpanym przedmiotem rozmów przy łóżku stryja, którego starano się do niego zniechęcić. Każda jego bytność nowe sprowadzała wybuchy gniewu, choć nie często uczucie ponoszonych niesłusznie krzywd i zniewag, odezwało się u Jana w słówku uszczypliwém dla stryjanki albo panny Kunegundy, lub ostrém dla pana Jacka, który mu najsrożéj dokuczał jeszcze od owego czasu, kiedy Jan przyjeżdzając na wakacyje, odważył się jego wiersze wyśmiéwać.

Gdy jednak pannie Kunegundzie nikt się inny nie trafiał, a Chorąży choć nalégany zwłóczył napisanie testamentu, i była obawa, że choćby go pisał, o synowcu nie zapomni, więc widziała Chorążyna potrzebę wrócenia do układów, w dawnym czasie wykołysanych. Z tąd powstała przywiedziona na początku rozmowa, w któréj łaskę stryjanki, Jan do reszty utracił, a nazajutrz miał nieszczęście jeszcze gorzéj niż kiedy, rozstać się z panem Jackiem. Wyszedłszy od

stryja, wsiadł na koń, bryczka cztéro-konna z rzeczami i pachołkiem szła za nim.—

»Jaki wierzchowiec, jaki cug dobrany, i to na posessyi!«

»Ja mu dałem«, odezwał się Chorąży, »na początek gospodarstwa źrebca i cztéry podjezdki, a on umié ujeździć, przeda, kupi drugie i znowu ujeżdza, i tak przychodzi do coraz lepszych.«

»A brawo! nie wiedziałem, że kochany pan Jan do wielu innych cnót łączy jeszcze cygański handel końmi. Bardzo to rzemiosło dowcipne, intratne, ale się zwykle na tém kończy, że kto grzbiet wyłata.«

Chorąży już się nie odzywał. Pan Grzegorz: »Cóż robić? każdy żyje jak może. Kto gardzi łaską starszych, uczciwych sposobów wyniesienia się nie chwyta, bo mu pracować się nie chce i ma kark za twardy, żeby się ukłonić, ten musi szukać łatwego chleba.«

Pani Szarobrocka: »Dajcież mu pokój, ja mam słabość dla pana Jana, i nie lubię, żeby go ogadywano. Tego tylko nie mogę mu przebaczyć, że nic nie okazuje wdzięczności ani przywiązania stryjostwu. Rzadko tu bywa, choć mieszka nie daleko, i przyjeżdza tylko się pokłócić — a ktoby go widział z panią Chorążyną, aniby się domyślił, że to jego dobrodziéjka.«

»A czemuż państwo mnie o tém nie powiécie? Jabym go *mores* nauczył!« wtrącił Pawluńcio.

Chorążyna z westchnieniem: »Ach ja to mam nieszczęśliwą słabość dla niego, ja to go wychowała, ja kąpała, czesała, ubiérała, karmiła razem z nieboszczką matką. Nigdy za to wdzięcznym dla mnie nie był. A ja przecie chciałam wszystko zapomnieć, chciałam oddać mu co mam najdroższego. On myśli, że wszystko posiędzie po stryju i nie dba o nikogo, a takby prędko rad posiąść, iż rozumié, że już wszystko jego, i według tego się kieruje.« — »A jaka nieszczérość«, dodała pani Machowska. »Powiedział przed panią Chorążyną, że się żenić nigdy nie myśli, a tu wszyscy mówią, że się żeni z jakąś czynszową szlachcianeczką.«—»*Czuk, czuk, poberem sia, budem panowaty, a ty budesz — — pasty, a ja zahaniaty*«, począł nócić Euzebcio. (*Dokończenie nastąpi.*)

S A M.

Ładnie, ładnie, tak we dwoje
Dłoń w dłoń brata lub kochanki,
Wchodzić w życia tego szranki,
Staczać życia tego boje.
Jakże znośne wtedy znoje!
Wszelka rana — wrogiéj doli
Podzielana — nawpół boli
A dopiéroż twa wygrana!
Ach tam inny żal, wesele,
Gdzie kochana, przyjaciele!

Ale jeźli nié masz biédny,
Ani jednéj, ani jednéj
Duszy ludzkiéj w całym świecie
Cobyś swoją nazwał przecie,
I pożądasz, co nie w stanie
Dać ni przyjaźń, ni kochanie,
I sam stoisz z chmurném czołem,
Kiedy wszyscy ciągną społem,
I sam łzy — krew rany twojéj
Spijasz, aż się sama zgoi,
I sam śmiéchy twéj uciechy
Jakby jakie skryte grzéchy
Zagrzebujesz w siebie, w siebie,
Bo nikogo koło ciebie,
Coby wraz się rozweselił,
Coby z tobą się podzielił
Twojém szczęściem lub cierpieniem,
Twojém światłem albo cieniem,
Twą pogodą, gradobiciem,
Twoją duszą — twojém życiem —

Wiész..... nie żałuj! niéma czego!
Czy kochanki — próżnéj pianki?!
Czyli tego najlichszego
Z dóbr téj ziemi — znajomego!

O! to życie ciężka próba,
A ktokolwiek brat czy luba
Dzieli z nami się tą próbą,
Ten się dzieli naszą zgubą,
Ten nam szkodzi, ten nam zdradnie
Pół nauki życia kradnie!

A skończonym mistrzem życia
Tylko ten, co od powicia
Sam się téj nauki życia
Całe życie uczyć będzie,
I czy w prawdzie albo w błędzie,
W blasku, w mroku, zawsze, wszędzie
Nic z kimś na *spół* nie posiędzie,
Całym sam człowiekiem będzie!

Więc choć ładnie iść parami
Bitą drogą — pan Bóg z wami!

Dla mnie milsza ta samotna
Poskalista ścieżka lotna, —
W górze — niebios otchłań cicha,
Tu się u stóp — grób uśmiécha.

M.

O dzisiejszéj krytyce rossyjskiéj

PRZEZ

N. POLEWOJA.

Po uspokojeniu politycznych burz Europy, zaczęły się walki w umiejętności i literaturze. Nastało straszne wzburzenie, powszechny rozruch. Cała artystowska, umiejętna i literacka Europa zatrzęsła się w swych posadach. Zwolennicy zdań nowych zaciągali aż w Oryjencie posiłki i śród tryjumfalnych okrzyków: »Szekspir! Gete! Szelling!« wkroczyli do stolicy zwyciężonego klasycyzmu. Wielu obrońców zdań dawnych, poległo z sławą na pobojowisku; wielu poddało się na łaskę nieprzyjacielowi; wielu zostało pojmanych, rozbitych i zapomnianych na wieki. Pamiętneż więc i obfite w rozmaitą naukę były to zaburzenia! A do jakichże ostatecznych dowiodły nas rezultatów?

Już ta sama okoliczność, że mimo wszelkich gwałtów, popełnionych owych literackich rozruchach, przecie niektóre wielkie i nowe prawdy odkryto — a już j e d n a prawda warta wdzięczności — powinna nas pogodzić z wypadkami tego okresu. Chociaż znowu przyznać potrzeba, że nareszcie we wielu względach tylko jedno złe za drugie wymieniano. Ktokolwiek nie umié spoglądać z wyższego stanowiska na życie literatury, ten utęsknia za dawnémi dobrémi czasy i radby z Fenelonem powiedział: »Gdybym miał obie garście pełne prawdy, tobym ich nie otworzył.«

Zgadzamy się przede-wszystkiém na to, iż sie na nic nie zda, użalać się na przeszłość, bo co się stało, stać się musiało. Ciężkiémi ofiarami musi człowiek okupić, co mu zbawę przynosi. Możemy przeczuwać już teraz cała piękność i doskonałość, jaka przeznaczona przyszłości, lecz nasza teraźniejszość, przedstawia nam, czy to ze względu na literaturę czy umiejętność, smutny istotnie i nieprzyjemny widok.

Prawda, że się nam udało ocalić dawna, ograniczoną i mylną teoryję o piękności; wywróciliśmy bez wątpienia dawny trójnog uprzedzonéj literackiéj krytyki — ależ stanął na jego miejscu nowy, któryby na większą powagę zasługiwał? Ustalonoż jaką nową teoryję, którąby pewniejszą cechę prawdy miała niż dawna? Bynajmniéj. To chyba uzyskamy, że mamy teraz z dziesięć trybunałów osobnych, z których każdy sprzeciwia się wyraźnie reszcie: każdy spisuje swe statuty, cofa je potém, ogłasza nowe, a reszta trybunałów zważa na nie tak mało, jak i wprzódy. Ktoby chciał stan dzisiejszy literackiéj teoryi i krytyki jednėm oznaczyć słowem, znalazłby tylko jeden stósowny wyraz: B e z z a s a d n o ś ć. Mnóstwo dzisiaj e s t e t y k, ale istota sztuki dzisiaj równie wielką, jeźli jeszcze i nie większą zagadką, niż była kiedy. Umiemy powiedzieć śmiało, czém sztuka być nie powinna; nikt jednak jeszcze nie wyrzekł: C z é m j e s t w s a m é j r z e c z y. Toż samo zamięszanie panuje nawet w samych umiejętnych teoryjach i filozofii.....

Zniszczyliśmy, powtarzam, dawne powagi; strąciliśmy dawnych bożków z ołtarzów; ale otóż sami już postrzegamy, że i nasze własne bożki nowe, niemniéj wyraźne znaki ludzkiéj niedoskonałości noszą i wiele już z nich stoi pokaléczonych, jak alabastrowe posągi w jakim opustoszałym ogrodzie. Z tąd wynika, iż całe zgraje wichrzących niedowiarków, rzucają się jak szalone na wszelką nowość w nauce, która się ku zbudowaniu publiczności pokaże; iż wielu w najdzikszych obłędach toną i nad wszelką trwałością ludzkiéj sławy, i ludzkich duchowych tworów rozpaczają... Biédna, wszystkich swoich prawideł pozbawiona, zbałamucona sztuka wstydzi się już nazywać Muza, i mniéj już w saméj rzeczy do artystowskiego bóstwa, niż do pijanéj bachantki z rozczochranémi włosy podobna.

Nie posądzaj mnie o przesadę czytelniku! Nie nazywaj skarg moich jękiem przeżytego człowieka, który nie umiał postąpić z czasem — lecz zapytaj się sam siebie na sumienie, spojrzyj bezprzesądnie w około i powiédz: nie podobnaż teraźniejszość do rumowiska, na którém się rój zabobońców i wichrzycieli tłucze? Albož nie dowodzi dzisiejszy brak prawdziwego talentu, a nicość wszystkich prawie tworów duchowych, żeśmy pootwierawszy wiele tajemnic sztuki, dali wejść wolno w jéj przybytek mierności, a w niedostatku wszelkich zasad, sztuka do rzędu rzemiosł spadła? Naszym ideałem piękności — dziwactwo, barbarzyństwo i nienaturalność.

Com tu powiedział, nie ściąga się tylko do saméj Rossyi, ale i do reszty Europy. Przeszliśmy te same literacko-rewolucyjne koleje co i nasze wzory zachodu (?) i zaszliśmy właśnie tak daleko jak one (?!) Nie ma już i u nas żadnéj teoryi, żadnych reguł; poezyja stała się mechanizmem; gruzy pole sztuki zalegly. Co żyje, chce kokietować oryginalnością — nawet i w ortografii. Spojrzyjmy tylko na naszę rossyjska dziennikarską krytykę z przeszłego roku!

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 18. i obejmuje: 1) Kilka słów o pożywności roślin, z odniesieniem się do uprawy roli, ogrodów i lasów. 2) O wyrabianiu i przechowywaniu mąki. 3) Środek przeciw wczesnemu kwituięciu drzew owocowych. 4) O przyczynach choroby zgorzeliny śledziony, której świnie podlegają. 5) Sposób obrachowania sperandy wydatków gorzelnianych. 6) Wiadomości czasowe.

Ner 9. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Pan Antoni, powiastka z roku 1839. (Dokończenie). 2) Bale w Anglii. 3) Rozmaitość.

W tych dniach opuścił prasę zeszyt piąty: *Lwowianina*, przeznaczonego krajowym i zagranicznym wiadomościom, i zawiéra następujące artykuły: Oddział krajowy: 1) Starościanka, opowiadka przez K. S. 2) Powszechny wykład starożytności polskich, czyli wędrówki narodów na polskiéj ziemi, ich dawne siedliska, objaśnienie wątpliwych w historyi zdarzeń, dawne obyczaje, religija, wojskowość, rządy, monety, prawa, zwyczaje i t. d., przez nieznajomego autora.— Oddział zagraniczny: 1) Łezka dziecięcia, czyli skąpiec nawrócony, z francuzkiego przez A. Ł. 2) Mikołaj hrabia Zriński i oblężenie Sigetu r. 1566, przez M. Michalewicza. — Oddział literatury: 1) Niektóre poezyje Antoniego Czajkowskiego. 2) Kurs historyi literatury niemieckiéj, przez Libelta (Dokończenie). — Oddział politechnii i wynalazków, i t. d.

Z Warszawy. Ostatni numer *Przeglądu naukowego* zawiéra: O różnych dążeniach w piśmiennictwie polskiém p. E. Dembowskiego; — Aleksander Dumas (Przegląd). Rozbiór i porównanie dzieła Ryszarda Savage, *Gutzkowa* i Torkwata Tassa *Gelego* przez Redaktora. Rozmaitości. Nowiny: O mającém wyjść dziele Szafarzyka. — Dwa przeszłe numera mieszczą: *Ułamki historyczne*, p. D. Z Trajedyi Szekspira: *Ryszard trzeci* (przekład z angielskiego przez A. Tyszyńskiego). Korespondencyja: Wyjątki z listu słuchacza uniwersytetu zagranicznego. Kronika pismiennicza polska. Kronika obca: Pedro Kalderon. Korespondencyja: Listy z Tyflisu i Kaukazu. Nowości: Niektóre prace teraźniejszych pisarzy polskich.

Dr. Gros wydał niedawno dziełko w celu obeznania swoich ziomków z duchem i treścią filozofii niemieckiéj. Aby poznać w jakim języku jest pisane, przytaczamy następujące słowa, równie dla Francuzów jak dla Niemców niezrozumiałe: *»Or, si le temps n'est que le passage du Seyn et du Nichts au Werden, il ne peut être avant le Werden. Mais il faudrait que dans le Seyn il eut déjà le passé qui ne peut être que dans le Geworden Seyn.* Czyliż nie podobnie piszą niektórzy o filozofii po polsku?.....

W Warszawie odbył się bajeczny pojedynek między dwoma literatami pp. Szabrańskim i Kicińskim. Miejscem walki były pisma czasowe, bronią, prasy drukarskie, a wystrzałami, dwie bajki: *Szaberek i Kitek*. Szabrańskiemu sekundował A. Czajkowski. Jestto coś w guście Myszeidy. Nikt nie zginął, jak zwykle w pojedynkach XIX. wieku.

Konserwatoryjum królewskiéj biblijoteki w Paryżu, wystawiło na widok publiczny w dwóch szafach śklannych mnóstwo dla dziejów drukarstwa bardzo ważnych fragmentów. W jednej z dwóch szaf znajdują się: Wydanie Apokalipsy, bez liczby roku; drzeworyt i próba z Donata, bez liczby roku; biblija Gutenberga drukowana w Moguncyi 1450 do 55 roku; ułamki kalendarza z roku 1457, znalezione roku 1804 w archiwach Moguncyi; psałterz drukowany w Moguncyi 1457 (w dzień przed Wniebowstąpieniem pańskiém), przez Fausta i Schöffera; ostatnią kartę łacińskiéj biblii, drukowanéj w Bambergu 1460, rubrykowaną 1461 przez Alberta Pfiistera, ucznia Gutenberga; książkę Św. Chryzostoma o 50 psalmie, drukowaną w Kolonii 1466 przez Ulrycha Zell, ucznia Gutenberga; Laktancyjusza z r. 1465, drukowanego w klasztorze Subiaco w rzymskiéj Campagna, przez Konrada Sweynheim i Arnolda Pannartz z Moguncyi, którzy sztukę drukarską we Włoszech zaprowadzili; *Ciceronis epistolae famil.*, drukowane w Wenecyi 1469 przez Jana z Speyer, piérwszego drukarza w Wenecyi; piérwszą w Paryżu przez Michała Friburgera, Ulrycha Geringa i Marcina Krantz 1470 do 72 drukowaną książkę; złotą legendę przez Bartłomieja Buyer, piérwszego drukarza w Lugdunie 1477 roku; pierwszą książkę holenderską 1473; piérwszą książkę angielską 1490 przez Wilhelma Cartona; sumaryjusze Św. Tomasza w Walencyi 1477; retorykę Cycerona rzymskiémi czcionkami; kronikę z St. Denis 1493, daną w darze Karolowi VIII.; piérwsze greckie wydanie Arystotelesa, przez Aldusa w Wenecyi 1495 do 98; kilka dzieł drukowanych Roberta Stefana, Szymona de Colines, Gryfiusza, Cramoizego, Elzevira, Plantyna, Telemak Dydota (1785) i t. d.

Płeć żeńska u narodów niechrześcijańskich. W Turcyi, Persyi, Indyjach, Chinach, na całym Wschodzie i u wszystkich ludów dzikich, gdzie tylko światło Chrześcijaństwa jeszcze nie zajaśniało, państwo, obyczaje, uczucie, ludzkość, literatura nie mają téj podstawy, którą u narodów chrześcijańskich daje im *rodzina*, a rodziny podstawą jest uznanie płci żeńskiéj w jéj godności, przeznaczeniu i prawach. Poganie, którzy nic nie wiedzą o jedynym prawdziwym Bogu, nie znają także w duchowém znaczeniu niewiasty, i nie mają wyobrażenia o naszém życiu domowém i rodzinném. Wschód ma haremy — są to menażeryje niewiast. Mąż tam nie jest małżonkiem, ale panem, właścicielem, a niewiasta narzędziem dla dogodzenia jego zmysłowości. Wybiera on je według chwilowego upodobania. Ujrzysz tam trzody istot człowieczych, bez wychowania, bez wiadomości, bez uczuć i bez myśli, jak mieszkańce klatek Van-Akena, które właściciel żywi i tuczy. — Nié ma tam śladu domowego szczęścia, moralnego przekonania, nié ma téj atmosfery, która u nas niewiastę tak tkliwą, tak kochania godną, tak słabą, i oraz tak mocną czyni; tę płeć delikatną i usterkliwą, otacza u nas moralność jakby murem ochronnym. Muzułmanowi podług prawa wolno mieć cztéry żony i tyle nałożnic, ile mu się podoba, pogląda on na swój harem, jak my na nasze ogrody, w których według woli zrywamy kwiaty, przesadzamy lub wycinamy drzewa. I on podobnie pomnaża liczbę swoich niewiast, lub zmniejsza, nawet je zabija, a nikt się za niémi nie ujmie. Tam też nie ma téj tęsknoty za domem, za rodzinném kołem z dobranymi przyjaciołmi, z uciechami i troskami, za spólną radością i spólnym smutkiem, które miłość uświęca. Z wielo-żeństwem łączy się zabijanie dzieci, bardzo upowszechnione na Wschodzie. Szkocki missyjonarz Dr. Duffe opowiada, że pokolenie Minas w oczach jego w dniu jednym tysiąc małych dzieci płci żeńskiéj zamordowało. A w Pekinie, stolicy niebieskiego państwa, co-rocznie cztery tysięcy dzieci, a według innych doniesień, samych tylko dziewcząt dziewięć tysięcy, z ręki rodziców

ginie. Największa część dziewcząt, mówi missyjonarz Gutzlaff, zaraz po urodzeniu bywa zgładzona. Ten zwyczajem uprawniony występek, jest tak powszechny, że nikogo nie zadziwia; tylko dzień, w którym wiele małych dziewcząt naraz topią, ma niejaki pozór uroczystości. Wzgarda dla płci niewieściéj tak jest wielką na Wschodzie, że przyzwoitość nie pozwala nawet zapytać rodziców o zdrowie córek, i czy takowe mają. Drugim skutkiém téjże wzgardy są częste samobójstwa przez niewiasty popełniane. Nim Anglicy opanowali Indyje, około 40,000 niewiast kazało się rok-rocznie palić na stosie ze zwłokami mężów. Przy takim obrazie znika niesprawiedliwość, z jaką Anglija teraz wojnę wiedzie z Chinami. Niechby tam jéj okręty zawoziły opium, byle z niémi wstęp także znalazły środki zapobieżenia tak wygórowanemu zepsuciu obyczajów!

Nowy wynalazek. Podług dziennika *Précurseur d'Anvers* rząd rossyjski nabył za milijon rubli wynalazek, który, jeżeli się potwierdzi i sprawdzi, zrządzi w handlu wielką zmianę. Jestto bowiem wynalazek utwarzania farby, która *indygo* zastępuje i cztéry razy jest tańsza. Podobnież i francuzki ambasador w Petersburgu pan Perrier, wchodzi w układy w celu nabycia téj tajemnicy dla swego rządu.

Kompozycyja galopu panny Taglioni, własny jéj utwór, który na *benefis* pożegnania z Petersburgiem 120 w rożowe suknie ubranych dziewcząt tańczyło, doczekała się w trzech miesiącach 22 wydań. Teraz wychodzi w Londynie przepyszne tegoż galopu wydanie z wignetą przedstawiającą 120 tancerek i pannę Taglioni na czele, poświęcone w hołdzie królowéj Wielkiej Brytanii. Wydanie to ozdobione jest takim przepychem, iż jeden egzemplarz dwa funty sztr. (20 zr. m. k.) kosztować będzie. Kompozycyja ta zawierać ma w saméj rzeczy taką żywość, świeżość i tak wyborne, oryginalne pomysły — że w porównaniu z nią wszelkie inne galopy tylko powolnémi menuetami być się wydają.

Wdowa po panu Montgolfier, wynalazcy żeglugi napowietrznéj, żyje dotąd w Paryżu, i lubo ma 108 lat, przecież jeszcze jest krzepką. Niedawno była słaba, lecz teraz znowu przyszła do zdrowia, i miała posłuchanie u królowéj.

Domowi nauczyciele w Rossyi. Summy, które Rossyjanie płacą za prywatną naukę swoich dzieci, są częstokroć niezmiernie wielkie. Nauczyciel domowy otrzymuje najczęściej 3 do 4000 rubli. Płacę tę posuwają Rossyjanie do sześć a nawet dziesięciu tysięcy rubli, gdy chcą zwabić nauczyciela domowego na Sybir albo w jaką inną odległą prowincyję rossyjską. Obliczono, że w samym Petersburgu jest 6,000 osób płci męzkiéj i żeńskiéj, które się wychowaniem zajmują. W ustawie z r. 1834 wymienione są wszystkie przywilcje przynależące dla tych nauczycieli prywatnych, którzy w Rossyi egzamin złożą. Podług téj ustawy nauczyciele domowi uważani są za urzędników krajowych, i z tąd wolno im nosić mały mundur ministerstwa publicznego oświecenia. Nauczyciel, który przez dwa lata trudnił się wychowaniem dzieci w domu starożytnéj familii szlacheckiéj, wstępuje w czternastą klasę szlachectwa; do tego zaszczytu ma także prawo, jeźli trzy lata zajmował się wychowaniem w domu kupieckim piérwszéj klasy, albo pięć lat w domu familii, która nie ma żadnego przywileju godności. Następnie domowi ci nauczyciele mogą być mianowani radcami tytularnymi, nadwornymi, asesorami kolegiów i t. d., jakoż obecnie wielu jest radców w państwie rossyjskim, którzy wprzódy niczém nie byli jak tylko nauczycielami prywatnymi.

Scena salonowa w Paryżu. Pewien kapitalista dał niedawno w Paryżu bal świetny, na który znaczna ilość najwytworniejszych dam i panów się zebrała. Smak i przepych toalety szczególniéj płci żeńskiéj, obudzał powszechne zadziwienie, a w promienném oświetleniu migocące się dyjademy, przyczyniały się bardzo do uświetnienia blasku, w którym bogini moda wystąpiła. Wtém jeden z służących przynosi gospodarzowi kosztowną świécącémi kamieniami wysadzaną bransoletkę, którą w przedpokoju na ziemi znalazł. Gospodarz dla wynalezienia właścicielki, pokazuje ją niezwłocznie wszystkim damom po kolei; ale rzecz osobliwsza, żadna z nich nie chce przyznać się do téj pięknéj ozdoby. Nakoniec gospodarz kładzie ją na stole, aby nieznajoma właścicielka wziąć sobie mogła. Tymczasem bal się kończy, a nikt nie zgłasza się po bransoletkę. Na drugi dzień gospodarz przypatruje się dokładniéj, i widzi, że bransoletka fałszywémi kamieniami jest wysadzana. Wstyd posiadania nie prawdziwéj ozdoby wstrzymał damę, która ją zgubiła, od zgłoszenia się po nią. Wypadek ten charakteryzuje dostatecznie wytworny świat paryzki.

Piérwszy dowódca wojska szkockiego. Wiadomo, że każdy szkocki pułk ma rosłego i dobrze wdresowanego źwiérza, który jako jego własność na każdéj publicznéj paradzie, podczas popisów i w pochodzie, na czele korpusu zwykle bandę muzyczną wyprzedza. I tak widać przed témi pułkami postępujące niedźwiedzie, duże małpy, a nawet słonie. Źwiérzęta te tak są do tego przezwyczajone, że ani słotne powietrze, ani trudy i niewczasy pochodu, skłonić ich nie mogą do opuszczenia swego stanowiska. Dziennik *Spectator* donosi, że stojący załogą w Manszestrze 78 pułk fizylijerów szkockich, otrzymał témi dniami szczególniejszego w swym rodzaju przewódcę. Konzul angielski w Tangerze pan Campbell, Szkot, przysłał mu pięknego strusia, który wkrótce do swego nowego stanu się przyzwyczaił. Z początku, gdy banda muzyczna grała na placach publicznych, musiano wprawdzie zakładać mu na dziób kaganiec, gdyż jako prosty syn puszczy, dzióbał i rozrzucał często nuty muzyczne; jednakże niezadługo odzwyczaił się tego narowu, i jest teraz przez powolność i roztropność swoję wielką rozrywką dla uliczników w Manszestrze.

Arystokracyja mody. Hrabina T. wstąpiła przed kilką dniami do sklepu jednéj z najsławniejszych modniarek w Paryżu, która niekiedy robiła także stroje dla dam dworu królewskiego. — »Co pani rozkażesz?« zapytała ozięble modniarka nie wstawszy bynajmniéj z wygodnego krzesła, na którem siedziała. — »Chciałabym mieć kapelusz podług najświeższéj mody.« — »Anusiu«, rzekła modniarka, »pokaż téj pani kapelusze z przeszłego tygodnia.« — Hrabina odezwała się, iż nie chce kapelusza z przeszłego tygodnia, lecz podług najnowszego wzoru. — »Takim kapeluszem nie mogę pani służyć«, odrzekła dumnie modniarka; »ponieważ gdym ostatnią raza w gabinecie księżnéj Nemours robiła, uradziłyśmy, aby najnowszych kapeluszy przed ośmią dniami między publicznością nie upowszechniać.« — Hrabina dawała nawet nierównie większą cenę, niż zazwyczaj za ten nowy kapelusz, lecz modniarka nie dała się uprosić.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.